

Moja Mała Ojczyzna (2) – okolice mojego domu

W poprzednim tekście przedstawiłem najbliższą okolicę mojego gospodarstwa. Pisałem o Witoszy i jej historii. Muszę jednak wrócić do lat osiemdziesiątych zeszłego wieku. Jak to dziwnie brzmi?! Wydawałoby się, że nie wiadomo ile mam lat. A przecież nie jestem wcale taki stary. Nie mniej pierwsze moje wypadki na te piękne tereny miały miejsce jeszcze w latach siedemdziesiątych, kiedy to jako nastoletni młodzieniec zacząłem uprawiać turystykę. Początkowo chodziłem na spacer sam, później ze znajomymi, by wreszcie zacząć uczestniczyć w zorganizowanych imprezach cyklicznych. Na przykład Rajdzie na Raty organizowanym przez PTTK w Jeleniej Górze. Ponieważ gmina Podgórzyn graniczy z Jelenią Górą, często wycieczki prowadziły właśnie na jej teren. Można tu bowiem nie tylko wypocząć ale także poznać sporo ciekawych miejsc i związanych z nimi faktów. A muszę powiedzieć, że zawsze, jak pamiętam, wszystkie wycieczki tu planowane zahaczają właśnie o Wzgórza Łomnickie. Dlatego gdy znajomy kupił gospodarstwo w Staniszowie często odwiedzaliśmy go. No a że nie można non stop siedzieć przy ognisku czy przy stole, organizowaliśmy wypadki w okolice jego domu. Mało tego, gdy założyliśmy Karkonoski Klub Krajoznawczy, będący wówczas czymś zupełnie wyjątkowym, bo zrzeszającym samych młodych ludzi, którzy właśnie zakładali rodziny, którym właśnie przychodziły na świat dzieci; staraliśmy się pokazywać tym nowym obywatelom całe to piękno, choć pewnie wtedy jeszcze nie rozumiały tego. Nie pojmowały i nie ogarniały wszystkiego swoimi małymi umysłami. Ale byliśmy przekonani o naszej racji, o tym, że czynimy dobrze.



Dom wznoszony na zboczu Witoszy. Foto: Krzysztof Tęcza

Organizowaliśmy często krótkie wypadki z Jeleniej Góry, przez las do Staniszowa. Wiadomo jak wyglądała wówczas komunikacja. Ale najważniejsze dla nas było to, że nasze pociechy przebywały na świeżym powietrzu. A my też mogliśmy odetchnąć od zgiełku miasta, który towarzyszył nam na codzień. I właśnie najczęściej nasze trasy prowadziły przez Witoszę. Mieszkańcy Staniszowa zapewne wiedzą, że wzgórze to wcale nie jest takie łatwe do zdobycia. I to niezależnie z której strony próbujemy się na nie wdrapać. A my nieraz mieliśmy dobrą zabawę gdy widzieliśmy jak "nowi" idący z nami po raz pierwszy, końcówkę wejścia na Witoszę zaliczali na czworaka. Wtedy dopiero wychodziło w jakiej byli kondycji. W miarę czasu oczywiście wszyscy się wyrabiali i później już przyjemnie było patrzeć jak śmigali, bez zadyszki, po górkach. Nie mniej trafiały nam się często

sytuacje, może wówczas nie tyle zabawne (dla nas) co wręcz komiczne. Podam za przykład jak kiedyś spokojnie siedzieliśmy przy ognisku rozmawiając sobie i nie zauważyliśmy, że drogą jechał wóz strażacki. Muszę tu przypomnieć, że w najbardziej znanym obecnie pałacu w Staniszowie, kiedyś swoją siedzibę mieli strażacy. I właśnie oni, jadąc przystanęli by z armatki wodnej puścić strumień zimnej wody, niby gasząc nasze ognisko. Ale tak naprawdę chcieli się zabawić i przemoczyli nas całkowicie. Początkowo oczywiście byliśmy wściekli, ale gdy uniesienie minęło sami zaczęliśmy się z tego śmiać i skwitowaliśmy to słowami: Pewnie strażacy postanowili się zabawić. I chyba im to wyszło. Nie mieliśmy zatem specjalnie pretensji, ale od tej pory ognisko paliliśmy już za chałupą, tak by z drogi nie było nas widać.



Czop. Foto: Krzysztof Tęcza

Przez te wszystkie lata można by o takich ciekawych wydarzeniach opowiadać i opowiadać, ale zakończę te wspomnienia na jeszcze jednym, teraz wydaje się śmiesznym, ale wtedy strasznym przeżyciu. Otóż ze względu na prowadzony przeze mnie interes mam dostęp do wyrobów pirotechnicznych i z tego też powodu zawsze na sylwestra przywoziłem z sobą stosowny zestaw do upiększenia tego wyjątkowego wieczoru. Zapewne niejednen z mieszkańców Staniszowa pamięta piękne pokazy fajerwerków mające miejsce przy Witoszy. Kiedyś przywoziłem wyjątkowo ładne rury,

strzelające na 200 metrów w górę. Dlatego efekt był przepiękny. Ze względów bezpieczeństwa sam mocowałem te rury. Niestety nie przywiozłem ze sobą drutów więc użyłem sznurków jakie dał mi gospodarz. Przewiązałem rury dla pewności w czterech miejscach, no i o stosownej porze odpaliłem je. Było wspaniale, pierwsza kula z przeraźliwym piskiem poszybowała w górę, gdzie rozerwała się z potwornym hukiem. Ale za to efekt wizualny był przepiękny. Wszyscy, a było nas tam kilkanaście osób, patrzyliśmy z podziwem na te wspaniałe efekty. Aż tu przy drugim strzale niespodzianka. Sznurek okazał się jakiś felerny i puściło jedno z mocowań. Rura przechyliła się nieco i strzeliła pod kątem. Zaniepokoiło mnie to ale pomyślałem sobie, że może pozostałe mocowania wytrzymają. Niestety tak nie było. Drugi wystrzał poluzował kolejne mocowanie i rura przechyliła się jeszcze mocniej. Zacząłem krzyczeć żeby uciekać bo akurat staliśmy na trasie strzałów. Wiadomo, wszyscy byli już rozluźnieni, więc ich reakcja nie była natychmiastowa. Ale jak następna kula śmignęła pomiędzy nogami to dostali takiego przyspieszenia, że nie powstydziliby się tego dobry sprinter. Gdy zobaczyliśmy, że na trasie lotu kolejnej kuli stoją zaparkowane nasze samochody, włosy stanęły nam dęba. Już sobie wyobrażaliśmy wszystko co najgorsze. A tymczasem kolejny odrzut spowodował zerwanie wszystkich wiązań i rura całkowicie przewróciła się na ziemię. I to było nasze ocalenie. Niektórzy powiedzieliby prawdziwy cud. Kolejna kula lecąc po ziemi, dokładnie między trawą a podwoziami samochodów, nie czyniąc żadnych szkód poleciała dalej. Odetchnęliśmy z ulgą. I właśnie w tym momencie przeraził nas potworny huk. Okazało się, że kula po minięciu samochodów poszybowała prosto na chałupę sąsiadki i rozbiła się o jej ganek. To samo uczyniła kolejna kula, następna i jeszcze następna. Już szykowaliśmy się do akcji gaśniczej, ale gdy po wszystkim podbiegliśmy do domu zobaczyliśmy, że skończyło się tylko na osmoleniu drzwi. Widocznie siła uderzenia była tak mocna, że ogień nie zdążył się zająć. Wtedy dotarło do nas dopiero, co się stało. Dziękowaliśmy opatrności, że sąsiadki akurat w ten wieczór nie było w domu, bo chyba dostałaby zawału.

Pewnego razu dotarła do mnie wiadomość o możliwości kupna ziemi od Agencji Rolnej. Pomyślałem sobie wówczas dlaczego nie. Miejsce ładne, okolica spokojna, ludzie mili. Poszedłem na przetarg i kupiłem kilka hektarów. Później dokupiłem kolejne, i jeszcze kolejne. I tak oto zostałem rolnikiem. Zacząłem poznawać sąsiadów, bliższych i dalszych. Początkowo w Stanisławowie, później w innych miejscowościach gminy. I tak powolutku, mogę chyba powiedzieć, że zasiedziałem się i jestem już u siebie.

Jako krajoznawca zacząłem poznawać okolice. Po Witoszy zaciekały mnie sąsiednie wzgórza. Dotarłem na wzniesienie o nazwie Czop, gdzie wypatrzyłem piękną skałę. Jej rozmiary robią wrażenie. Tak zresztą było też i dawniej. W czasach gdy przez nasze ziemie maszerowały wojska napoleońskie, grupa 10-ciu żołnierzy francuskich (grenadierów), również wypatrzyła tę skałę. Pobudzona u nich wówczas wyobraźnia kazała im spróbować zepchnąć ją. Wzrokowo bowiem wyglądało, że bez najmniejszego trudu można ją puścić na dół, że ześlizgnie się ona ze zbocza. Oczywiście tak się nie stało. Skała trzymała się jak przyklejona, ale od tamtej pory mówi się o niej albo Grenadierski Kamień, albo Francuski Kamień. Dzisiaj gdy idę popatrzeć na nią, spotykam nieraz ludzi, którzy próbują swoich sił, by zrobić to co niemożliwe. Wiadomo przecież, że przetrwa ona, w tej pozycji, nas wszystkich. Aby jednak nie było niejasności, poprawna nazwa dla całego wniesienia to Czop, od pierwotnej nazwy wspomnianych wyżej skałek. Dla ułatwienia dostępu do tego dobrego (dawniej) punktu widokowego w parku pałacowym, wykuto stopnie.

A jak już zapędziliśmy się w te okolice to warto, zwłaszcza w okresie kwitnienia drzew, zejść do asfaltu, zboczem wzdłuż płotu, bo za nim rośnie stare, bardzo piękne drzewo. Jest ono wielką rzadkością, a gdy kwitnie wygląda wręcz przepięknie. Drzewo to to Tulipanowiec. Jeśli ktoś nie widział jego to naprawdę powinien wybrać się tu na spacer.

Idąc dalej zielonym szlakiem możemy dojść do kolejnej atrakcji, która mimo, że leży już w gminie Mysłakowice, to jednak należy do Wzgórz Łomnickich. Jest to Krzyżowa Góra. Obecnie zmieniono przebieg szlaku zielonego. Niestety nowi właściciele terenów nie zawsze życzą sobie by turyści chodzili po ich gruncie. Mimo że szlaki turystyczne zazwyczaj są prowadzone drogami gminnymi czy leśnymi. Ale niestety osoby decydujące o przebiegu szlaków często nie chcą się spierać i po prostu zmieniają ich przebieg. Krzyżowa Góra to ciekawe miejsce wykorzystane jako element

założenia romantycznego. W 1874 roku, na polecenie cesarza Wilhelma I ustawiono tu kamienny krzyż, którym zastąpiono znajdujący się tam od 1838 roku krzyż drewniany. Nowy krzyż był nazywany Krzyżem Trzech Królów Pruskich. Ponieważ początkowo wzgórze to było niezalesione zarówno widok z niego był wspaniały, jak i samo wzgórze, było widoczne z pałacu w Mysłakowicach. Dzisiaj wszystko jest porośnięte drzewami i widoki są już mocno ograniczone. Mnie osobiście cieszy fakt, że w tamtych czasach panowała moda na organizowanie tego typu założeń. Dzięki temu możemy podziwiać niejedną piękną rzecz. A jak wyobrazimy sobie, jak musiało to wyglądać zaraz po zbudowaniu, to aż zazdrościmy ludziom żyjącym w tamtych czasach. Zazdrościmy im, że mogli na co dzień podziwiać to wszystko. A jak jeszcze dodamy, że wówczas nie było tylu zakazów i ograniczeń co dzisiaj, realizacje (nieraz bardzo wybujałych marzeń właścicieli ziemskich) tworzone były tylko w ograniczeniu o dostępne finanse. Jednak bez realizacji tych dziwactw co mielibyśmy dzisiaj? Nic! A tak dzisiaj możemy usiąść na kamiennej ławeczce w tak zwanej Kamiennej Altanie i odpocząć sobie.

Zapomniałem podkreślić, że do swojej ziemi jadę drogą zwaną przez niektórych królewską. Jest ona obsadzona dębami, które dzisiaj są tak potężne, że nie sposób ich pominąć. A jeszcze na skrzyżowaniu dróg, właśnie na wysokości wzgórza Czop rośnie, co prawda już podsychający, ale tak potężny dąb, że nieraz widzę jak zacierają w jego kierunku liczne wycieczki.

Zaraz za polem, na którym rośnie ów dąb kończy się nasza gmina i rozciągają spore bagna. Ale na pewno mało kto domyśla się, iż woda z tych terenów odprowadzana jest potokiem o nazwie Pijawnik. Każdy kto spotkał się z tą nazwą raczej skojarzy go z osiedlem Czarne.

Schodząc wspomnianą drogą, która teraz, zresztą zgodnie z naszymi prośbami, została wzmocniona nawierzchnią asfaltową (poprzednio była to droga pokryta brukiem), zobaczymy ciekawą skałę o sporych rozmiarach, a obok stary bardzo ładny w formie drewniany domek. Mieszkańcy nazywają go Domem Poetów. Nazwa może być nieco myląca, bo gdy próbowałem dociec jacy to poeci tutaj mieszkali, to wszyscy raczej mówią o jednym. Niestety nikt nie potrafił wymienić go z nazwiska. Ale kiedyś dowiem się tego.

Przy głównej drodze zachował się jeszcze budynek remizy strażackiej, obecnie wykorzystywany jako bar. Można tutaj odpocząć sobie przy kominku lub, gdy jest ładna pogoda, na ławeczkach rozstawionych na zewnątrz. Wspominam o tym ponieważ nieraz znajdzie się okazja do rozmowy z klientami. Można tu często spotkać starszych mieszkańców Staniszoła, którzy naprawdę mają o czym opowiadać. I bardzo chętnie to czynią. O zabudowaniach, które znajdują się przy przystanku napiszę w następnej opowieści, teraz jeszcze tylko zaproponuję odwiedzenie stojącego nieopodal budynku, w którym do niedawna znajdowała się szkoła. Niestety dzisiaj szkoły co chwile przekształcają się i ta przestała być potrzebna. Ze względu na jej usytuowanie i wielkość, gmina przeprowadza prace budowlane dostosowujące obiekt dla potrzeb schroniska młodzieżowego. Myślę, że to świetny pomysł. Miejsce urocze, a ponad stuletnia budowla to ciekawy w formie budynek zwieńczony 3-osiowym niby ryzalitem, przykryty dwuspadowym dachem z naczółkami. Zobaczymy jak będzie wyglądał po remoncie. Ale ciekawe są też nisze w skałach za budynkiem. A dodam tylko, że nieraz w tym właśnie budynku odbywały się zabawy sylwestrowe. Sam kiedyś brałem udział w jednej z nich i miałem wówczas możliwość poznać bliżej wielu mieszkańców.

Krzysztof Tęcza